

Liturgie liturgiczne i wojenne

16 kwietnia 2022

Nieubłaganie zbliżają się Święta Wielkanocne, a tymczasem na Ukrainie wojna trwa na całego. To znaczy – ostatnio jakby trochę przycichła bo nie słychać o żadnych większych walkach, a nawet nie jest jasne, czy Mariupol się broni, czy nie – ale za to rozgorzała wojna propagandowa. Codziennie odkrywane są jakieś okrucieństwa rosyjskiej armii, która dla czegoś specjalnie uwzięła się na dzieci i strasznie nad nimi wydziwia. Ostatnio pojawiły się wiarygodne doniesienia, że rosyjscy żołnierze gwałcą nawet niemowlęta, a jak wojna potrwa jeszcze trochę, to światem wstrząśnie wiadomość, że po wszystkim w dodatku je zjadają. Zgodnie bowiem z zaleceniami Alfreda Hitchcocka, najpierw ma wybuchnąć bomba atomowa, a potem napięcie zaczyna rosnać.



Niezależnie jednak od tego, nieubłaganie zbliżają się Święta Wielkanocne, co zażartym patriotom i czyściochom moralnym w rodzaju ojczyka Pawła Gużyńskiego, stwarza sposobność, by obsztorcować papieża Franciszka, że zamiast we wszystkim słuchać prezydenta Zełeńskiego, a ostatecznie – nawet pana prezy-

denta Andrzeja Dudy – nie tylko prowokacyjnie zwleka z potępieniem zimnego ruskiego czekisty Putina, chociaż przecież został on już potępiony i przez Senat USA i przez samego Pana z Waszyngtonu, czyli prezydenta Bidena, ale podobno rozmawiał nawet on line z Patriarchą Moskwy i Wszechrusi Cyrylem. Tak w każdy razie podejrzewa były ambasador naszego nieszczęśliwego kraju na Ukrainie, pan – nomen omen – Piekło, którego do rozgłośni RMF FM zaprosił jej kolaborant, pan red. Tomasz Terlikowski. Pan red. Tomasz Terlikowski nie ukrywał swego rozczarowania niesubordynacją papieża Franciszka, który, niczym student Biesz z nieśmiertelnego utworu „Pięć Donosów” („Donoszę panie naczelniku, że w naszym mieście student Biesz chętnie się bardzo ekscentrycznie, przedziałek z tyłu robiąc też”), próbuje postępować według swego uznania, podczas gdy „cały świat”, a zwłaszcza „my wszyscy”, posłusznie stosujemy się do „stołecznych życzeń”, czyli oczekiwań Pana z Waszyngtonu.

To jeszcze może uszłoby mu na sucho, ale czarna gorczyca przelała się, gdy ambasador Ukrainy przy Stolicy Apostolskiej dowiedział się o pomyśle Jego Świątobliwości, by podczas wielkopiątkowej Drogi Krzyżowej w Colosseum, krzyż niosły na przemian rodziny z Ukrainy i z Rosji. Nie tylko uznał to za niemożliwą do przyjęcia prowokację, ale w dodatku – co dał do zrozumienia pan red. Terlikowski – był wyrazicielem opinii bardzo patriotycznego ukraińskiego duchowieństwa obrządku greckiego, które w związku z tym zaczyna rozważać ponowne przejście na prawosławie, albo od razu – na judaizm. To jest – jak mawiają gitowcy – bardzo poważna zastawka, więc w ramach sławnej synodalności, w czynie społecznym podpowiadam kompromis: niech ta ruska rodzina poniesie krzyż, ale dopiero na samym końcu Via Dolorosa, po czym, w ramach rekonstrukcji historycznej, mogłaby zostać ukrzyżowana. Wtedy i wilk byłby syty i owca cała, to znaczy – Via Dolorosa odbyłaby się ponad podziałami, ale na końcu pojawiłaby się surowa ręka sprawiedliwości ludowej – żeby strona ukraińska też poczuła się udelektowana. Zresztą mogłaby tę ruską rodzinę ukrzyżować własnoręcznie, czemu z pewnością towarzyszyłoby „dodanie dramatyzmu”, co zawsze sprzyja

zwiększeniu napięcia. Takiej Drogi Krzyżowej świat na pewno długo by nie zapomniał, a kto wie – może nawet ta scena stałaby się trwałym elementem liturgii?

A skoro o liturgii mowa, to warto odnotować reaktywowanie przez Naczelnika Państwa liturgii smoleńskich. Naczelnik Państwa, przez złośliwców nazwany z tej okazji „Liliputinem”, zaraz po tym, jak prezydent Biden podczas gospodarskiej wizyty w Warszawie ani słowem nie zająknął się o uzbrojonej po zęby „misji pokojowej” NATO na Ukrainie, oświadczył, że już „wszystko wie” o tym „zamachu”, a w dodatku wyciągnął z naftaliny Antoniego Macierewicza, który macerował się tam od 2018 roku, kiedy to Naczelnik Państwa ogłosił „zwycięstwo” w „dążeniu do prawdy”.

Od tamtej pory nie pojawiły się, co prawda, żadne nowe okoliczności, ani nie słychać o żadnych nowych dokumentach, ale to nie ma znaczenia w sytuacji, gdy „naród się stęsknił” za jakąś nową, świecką tradycją. Niektórzy malkontenci wprawdzie podnoszą, dlaczegóż to śmierć Pana Jezusa Chrystusa obchodzi się u nas tylko raz w roku, podczas gdy pana prezydenta Lecha Kaczyńskiego – aż dwukrotnie; 10 kwietnia i 10 listopada? Nie ma co jednak zaprzętać sobie głowy takimi głupstwami tym bardziej, że 11 kwietnia, kiedy jeszcze nie ucichły echa reaktywowanej smoleńskiej liturgii, Antoni Macierewicz ogłosił „raport”, z którego wynikało, że „zamach” polegał na tym, iż samolot doświadczył „co najmniej dwóch” wybuchów. Co prawda, kilka dni wcześniej, z ust Antoniego Macierewicza słyszeliśmy, że na pokładzie samolotu wybuchła „bomba termobaryczna”, ale widocznie w międzyczasie ktoś mu wytłumaczył, że przy wybuchu bomby termobarycznej powstaje temperatura 2000 stopni Celsjusza, przy której topią się metale, a poza tym, wybuchowi takiemu towarzyszy skokowy, ogromny wzrost ciśnienia, podczas gdy okna samolotu były rozbijane przez ruskich robotników łomem dopiero na ziemi. W tej sytuacji stanęło na „co najmniej dwóch” wybuchach, ale sytuacja jest rozwojowa, bo pani Stankiewicz twierdzi, że tych wybuchów była „cała seria”, więc kto wie,

czy każdego roku liturgia smoleńska nie będzie wzbogacana o kolejny wybuch?

O tym jednak przekonamy się za rok, tymczasem warto postawić pytanie, dlaczego to Naczelnik Państwa reaktywował liturgię smoleńską i celebrowanie „zamachu” akurat teraz, gdy NATO na Ukrainie wojuje z Rosją? Zwróćmy uwagę, że Naczelnik oświadczył, że „wie”, iż „zamach” został zdecydowany „na Kremlu”. To jednak oznaczałoby, że „Kreml” przy pomocy „co najmniej dwóch”, albo nawet „całej serii wybuchów” zaatakował polski statek powietrzny. Taki statek powietrzny, podobnie jak morski, z punktu widzenia prawnego, jest częścią terytorium Rzeczypospolitej. Oznacza to, ni mniej, ni więcej, że 10 kwietnia 2010 roku „Kreml” zaatakował terytorium Rzeczypospolitej Polskiej, która od 1999 roku była już członkiem NATO. Czy w tej sytuacji art. 5 traktatu waszyngtońskiego mógłby mieć zastosowanie? Jak wiadomo, na jego podstawie każde państwo członkowskie reaguje według swego uznania, ale nie da się ukryć, że pod tym pretekstem ewentualne wciągnięcie przynajmniej Polski w wojnę z Rosją – o czym Naczelnik najwyraźniej marzy – miałoby przynajmniej jakiś pozór legalności. W przeciwnym razie trudno byłoby tę reaktywację smoleńskiej liturgii wyjaśnić racjonalnie.

Tymczasem wojna, owszem – ma mnóstwo plusów ujemnych, ale też jeden plus dodatni w postaci szansy na ucieczkę do przodu – bo pod gruzami można by ukryć wszystkie dowody lekkomyślności, niekompetencji i rozrzutności rządu.

Autorstwo: Stanisław Michałkiewicz

Źródło: Goniec.net